

## Wojciech Stanisławski: Samurajka

Przyszłość, jaka czeka tę książkę, może być niesłychana, ponieważ różnym odbiorcom nieść będzie ona zrozumienie, wtajemniczenie, wsparcie, catharsis i zachwyty. Wielu czytelnikom ofiaruje wszystko to jednocześnie.

Często motta przelatujemy tylko wzrokiem; nad tym wziętym z Susan Sontag („Jak już dziś wiadomo, istnieją sposoby myślenia, których jeszcze nie znamy”), otwierającym „Wczoraj byłaś zła na zielono”, warto się zatrzymać, bo wskazuje jedną z płaszczyzn, na których książka ta dokonuje przełomu: wprowadza nas, laików, nie czytających na co dzień prac Piageta i spółki, w sedno kwestii, którym mało kto poświęca uwagę: narodzin samoświadomości, języka, postrzegania świata zewnętrznego. Tę książkę eseistki, słuchaczki świata, badaczki Brzozowskiego czytać będą (i preparować z niej ławice cytatów, które trafią potem do podręczników i przypisów) psychologowie, kognitywiści, neurologowie; wydana przez Karakter książka trafi do sylabusów i na listy lektur seminaryjnych.

To będzie stosunkowo chłodny tryb lektury. Żarliwiej czytana będzie książka Elizy Kąckiej przez tysiące rodziców – w rozpacz, z wątlą ognikiem nadziei, z perspektywą skąpego (ale też czasem jedyne), jakie może być dane) „achmatowowskiego” pocieszenia: pocieszenia, jakie daje nazwanie. Wiem, to pocieszenie blade, niczym to spod ścian leningradzkich Kriestów, opisane w epigrafie otwierającym „Requiem”

(przypomnijmy, choć łamie to rytm akapitu: „Spędziłam wtedy siedemnaście miesięcy w kolejkach do leningradzkiego więzienia. Pewnego razu ktoś mnie rozpoznał. Wtedy stojąca za mną kobieta z sinymi ustami, która z pewnością nigdy nie słyszała mego nazwiska, ocknęła się z typowego dla nas wszystkich odrętwienia i zapytała na ucho (tam wszyscy mówili szeptem): – czy Pani może to opisać? – Opowiedziałam: mogę”). I tak, właśnie takie pocieszenie – nazwanie tego, co dotąd było nienazwane, otchłani lęku, rozpacz i bezradności, w którą osuwają się rodzice wielu dzieci – jest szczerze udzielane.

„– I darłam się?

– Owszem. A już najgorzej było, jak ktoś mnie zagadywał. Marysia kiedyś zaczęła ze mną rozmawiać i ty pokrzykiwałaś w piaskownicy. Nie mogłyśmy cię uspokoić. I już było wiadomo, że się nie pobawimy. Wyniosłam cię z placu zabaw. Nieźle mnie skopałaś, wiesz.

Usłyszałam łkanie. Płakał facet siedzący po mojej lewej, przysłuchujący się:

– Ja tak mimowolnie.

– Nie ma sprawy przecież.

– Bo ja mam to samo. Z Mikołajem. Ja już nie wiem, co zrobić.

Ruda wstała, podeszła do niego, położyła mu cienką dłoń na dłoni”.

Jako ostatni wezmą książkę do ręki czytelnicy bezinteresowni: poszukiwacze historii ludzkich, utrwalonych obrazów, rytmu zdań. I to oni jako pierwsi dostrzegą jej bogactwo, hojność fraz tak ważnych, tak oszczędnych i tak pięknych, że innym starczyłyby na poetycki dorobek życia, na tomy liryki z kruchego lodu:

„Główkę widzianą pod światło okalał rudy obłok, delikatny jak rozbity na chmurę wyosobnionych włókien kordonek. Pamiętam, jak bawiłam się rozplątywaniem nitki kordonka czy muliny na pojedyncze włókna. Rozcierałam je w palcach, by stały się niemal przezroczystym puchem, watą cukrową włosia. Miedziana korona z powietrza i dziecięcego puchu przypominała mi zdobienie szmacianych lalek rozburzoną czupryną z włóczki na lekcjach ZPT. Rozcieranie, rozcieranie. Gdyby udało się te lekcje połączyć z wypalaniem laleczek z porcelany, uzyskałoby się efekt, jaki widziałam na balkonie”. I jeszcze: „Światło obsiadało wąty pęk rudych drucików, wymykających się spod zielonej czapki jak mgła złotych muszek, półprzejrzysta, ledwie widoczna na tle wnęki wózka”. I jeszcze: „A obca tkwiła na ławce jak masajska dzida, prosta i smukła, wbita w sam środek społecznej piaskownicy”.

Taka szczodrość autora zdarza się wyjątkowo, pewnie wówczas, gdy prozę piszą poeci – zdawałem na tych łamach przed miesiącem sprawę z podobnie hojnej (choć zupełnie przeciw różnej – ale też pisanej półgłosem i z powagą) noweli Reznikoffa. To porażające bogactwo, marginesy książki tłuścieją od ołówkowych maźnięć, którymi próbuje się wyłuskać takie, jak powyżej zdania – żeby co? Powycinać je do osobnego tomiku? Nie, po prostu do nich wracać. Opis kroków dwulatki – „prowadzi krok w stałym rytmie lekkich podskoków i meandrujących stąpień, z punktu do punktu, prawie bez dotykania niespękannej powierzchni” – wiernie oddaje również dukt tej prozy. (Dodajmy jeszcze, że krocząc tak lekko, można natknąć się na bonusy, na rozsiane w wysokiej trawie czekoladowe jajka kryptocytatów – od „Bomba, ona wybucha” po pół tuzina innych. Ach, ta Kącka!).

Wielowymiarowość „Wczoraj byłaś zła na zielono” onieśmiela: nawet bardzo wybitne pióra, poproszone o zdanie rekomendacji na obwołucie, uciekły w unik („To nie jest książka na blurb, napisałabym najchętniej. Wielka rzecz” – Inga Iwasiów) lub w gest osobistej przyjaźni („Dziękuję, Ruda, dziękuję, Elizo” – Marek Bieńczyk). Nie chcąc pierwszego, nie mając prawa do drugiego, muszę poprzestać na buchalteryjnym podsumowaniu, a jednocześnie zapowiedzi: odwaga, przenikliwość i głębia tej książki, połączenie w niej analizy intelektualnej, powściągliwości tonu i wyznania miłości czynią z niej zjawisko zupełnie wyjątkowe. Jeśli wyróżnienia jurorów i wybory wydawców odzwierciedlają wartość tekstu (to zależność w którą, obserwując współczesne bestsellery, można czasem zwątpić) – przyszłość, jaka czeka tę książkę, może być niesłychana, ponieważ różnym odbiorcom nieść będzie ona zrozumienie, wtajemniczenie, wsparcie, catharsis i zachwył. Wielu czytelnikom ofiaruje wszystko to jednocześnie.

Te sceny z życia z Rudą, począwszy od pierwszych doświadczeń i pierwszych lęków („Sygnał ostrzegawczy, pierwszy i kolejne. Takie, których nie mogłam zrzucić na wcześniactwo. Gdy tylko stanęła na chude nóżki, ruszyła przed siebie tak szybko, że musiałam za nią truchtać. «Co za tempo, pani Elizo! Ale może zmieńcie trasę?». Znów ukłucie. Z początku bawiło mnie, że wszystkie spaceru odbywała tak samo, że chodziła swoim tropem z dokładnością co do chodnikowej płytki”), to raczej obrazy i epizody niż systematyczna autobiografia. Równie zatem trafnie dobrane, co zdanie z Sontag, okazuje się drugie motto, przekierowujące nas do „Pamięci, przemów” Nabokova: to podobny wzór wspomniania. Obrazy te i olśnienia są jednak tak świetnie taktowane, że czytelnikowi wydaje się, iż odkrycia opisywanej w całej książce „inności w obsłudze świata” doświadcza jednocześnie z narratorką. Powierzchowna i anegdotyczna, niezależnie od tego, czy

czerpana z doświadczenia, czy z Wikipedii, znajomość kilku zachowań, manifestujących się w spektrum (unikanie kontaktu wzrokowego, upodobanie do rytmów, dystans do obcych, niechęć do zmian) na nic nam się przy tej lekturze nie przyda: doświadczamy kilku takich (i wielu innych) inności w obsłudze świata niespiesznie, w trybie wtajemniczenia, nie prelekcji, anegdoty czy nowelki.

To dalece nie wszystko. Zdarza się, że patrząc na coś, co rozgrywa się na naszych oczach – popis lekkoatletów, przekształcenie równania, start rakiety – wyznajemy „nie wiem, jak to jest zrobione”; widzimy, ale nie rozumiemy, obcujemy z czymś niepojętym. Trochę podobnie doświadczam tej prozy. W dobie radykalnego wyzwolenia z „barier wstydu” funkcjonujących jeszcze kilkanaście lat temu, w czasie, kiedy ego miliardów, pompowane w *social media*, puchnie nad Ziemią nieporównanie szybciej niż chmury metanu, Eliza Kącka pisze o doświadczeniach najprywatniejszych, jakie być mogą, ani na chwilę nie krusząc szklistej skorupki osobności. Onlyfansiarzy i patostreamerzy, instalujący kolejne kamery w swoich sypialniach i wygodkach, nigdy nie odsłonią się tak bardzo, jak ktoś, kto pisze zdanie: „Ważne, że w jej śmiechu była radość. Szkoda, że nie mogłam się do niej włamać”. To sytuacja jak ze starożytnych martyrologiów (odsłonięcie, obnażenie, które nie upokarza ofiary, lecz jej oprawców), niepojęta dla internetowych ekshibicjonistów. Jest ona możliwa, w przypadku tej książki, nie tylko za sprawą odwagi i miłości, lecz i poetyki: te wyznania czynione są jakby w myśl sformułowanej swego czasu na Grizzly Peak zasady, że „wolno pisać rzadko i niechętnie / pod nieznośnym przymusem i tylko z nadzieją / że dobre, nie złe duchy, mają w nas instrument”. Te granice otwierają się tylko na moment; jesteśmy dopuszczani do bólu na czas nie dłuższy niż mrugnięcie.

„Pamięci, przemów” nie do końca sprawdza się jako źródło wiedzy o napięciach i podziałach przedrewolucyjnej Rosji, doskonale zarazem opisując niektóre środowiska i style życia Srebrnego Wieku. Trochę podobnie jest z „Wczoraj byłaś zła na zielono”: spotkania i zderzenia ze światem autorki i Rudej mają miejsce w bardzo konkretnej Polsce początku XXI wieku. To nie tylko kwestia konkretów materialnych: mostów przerzuconych nad lidzbarskim Welem, grzęznącej w śniegu spacerówki i zagęszczenia kolizyjnych skrzyżowań na przelotówce z Warmii do Warszawy. Kąską zawsze mniej interesowały sytuacje międzymiastowe niż międzyludzkie, doskonale widać to było w „Strefach zgniotu” (2022), a doświadczenie życia z dzieckiem ze spektrum inności daje doświadczeń międzyludzkich szczególnie dużo. Ponadprzeciętnie często – raniących. Tych zranień nie sposób uniknąć, często wynikają po prostu z zaskoczenia, lęku, niewiedzy, ba, najlepszych chęci sąsiadów, przechodniów, współtowarzyszy podróży (chęci, które w tym konkretnym przypadku wyjątkowo dobrze sprawdzają się jako infernalny surowiec budowlany).

Istnieje jednak oczywiście bogaty zbiór zranień, których przyczyną bywa nie tylko obcesowość, prostoduszność czy agresja innych dzieci (tę zrozumieć jeszcze najłatwiej – co nie znaczy, że łatwo), lecz cała paleta pospolitych grzechów ludzi metrykalnie dorosłych: wścibstwa, przemądrzałości, wygodnictwa, lenistwa umysłowego i szybkiego osądu. W kilku wtrąconych w główny nurt książki wyborach cytatów, w minirozdziałach zatytułowanych „Rzeczy, które usłyszałam jako matka” grzechy te osiągną podobną kondensację (i śmieszność) co w „Słowniku komunałów” Flauberta. Znacznie częściej jednak pojawiają się w książce niejako w didaskaliach: są „tłem społecznym”, uwierającym – czasem „obiektywnie niewielkim”, jak ziarnko grochu pod siedmioma pierzynami (tę księżniczkę jednak raniącym naprawdę

dotkliwie), czasem wołającym o pomstę do nieba. Są dostrzegane tym ostrzej, bez zmiękczenia filtrów, że narratorka „Wczoraj byłaś zła na zielono” (podobnie jak „Strefy zgniotu”) niemal nieodmiennie zachowuje postawę chłodnego, uprzejmego, małomównego dystansu. O ile lepiej rozumiem to teraz, niż przy lekturze (i ocenie) poprzedniej książki! – A jednak, dla osób obdarzonych temperamentem bardziej psistym, bardziej skłonnych do prób przełamywania dystansu (również własnego) porozumiewawczym uśmiechem, piłą żartu, werbalnym kuksańcem, niezgrabnym przygarnięciem to pół kroku w tył, ta deklaracja (trudno, musi paść to słowo – wymiędlone, lecz niezastąpione) nieprzysiadalności nie jest łatwe. Trudno. Narratorce trudniej. (I doskonale widać – i chłód, i jego niezbędność – w otwierającej książkę krótkiej, dramatycznej scenie).

Straszna byłaby szkoda, gdyby to „tło społeczne” dostało się w medialne żarna i dostarczyło pożywki rzeszom mediaworkerów, od świtu młotkujących Polskę dyżurnymi oskarżeniami o „nietolerancję wobec Inności” i cudownie przemieniających dar empatii, który chcą w nas obudzić, w konkretny ptaszek czy krzyżyk na karcie do głosowania. Tak, są różne inności, różne postawy wobec nich, w różnym stopniu nacechowane obawą, niezrozumieniem, czasem rzeczywistą nietolerancją, czasem pragnieniem zachowania ładu dawnego świata. Ale ta inność, którą opisuje Eliza Kącka, jest utkana z wyjątkowo subtelnych kolorów, niczym z wykładów Lake’a („widmo słoneczne nie jest obwodem zamkniętym, lecz spiralą barw począwszy od czerwieni kadmowej i różnych odcieni pomarańczowego przez żółć strontową i bladą zieleń rajską, a skończywszy na kobaltowych błękitach i fioletach, gdzie spektrum nie przechodzi znów w czerwień, tylko wstępuje na kolejną spiralę, która zaczyna się lawendową szarością i przeradza się w odcienie prosto z bajki o Kopciuszku, wykraczające poza percepcję

ludzka” – też Nabokov, wiadomo): nie da się z niej wykroić zakurzonej stylonowej chorągiewki, obowiązkowo wywieszanej w czerwcu, bo taka jest polityka wizerunkowa korporacji.

Warto natomiast dostrzec inny komunikat, też przekazany nie to, że półgłosem: *sotto voce*. Przewijający się jednak przez całą książkę, wprost wypowiedziany chyba tylko raz, w zdaniu o „mundurze matki”, który jest „nie tylko formą służby, co było dla mnie jasne, lecz także formą nabytej powagi, czego nie chciałam. Przyjęłam odpowiedzialność, nie chciałam roli”. To rozróżnienie, którego precyzja jest niesłychanie cenna w czasie, kiedy mediaworkerzy (ci sami, lub siedzący na sąsiednim redakcyjnym krześle) młócą teksty o cieniach i udrękach macierzyństwa. W „Wysokich Obcasach” i w Onecie, w Ofemininie i w „Newsweeku” nie ma dnia bez wyznań udręczonych matek i bezmiernym szczęściu kobiet bezdzietnych, realizujących się zawodowo, sformatowanych tak powtarzalnie, że trudno uwierzyć w ich spontaniczność i bezstronność. Zżymając się na nie, możemy przeoczyć rzecz istotną: to, że prócz wysokich krawężników i bezsennych nocy, arogancji przedszkolank i samotności z diagnozą, źródłem udreki może być rola społeczna, zakreślona zbyt sztywno i zbyt dawno. Eliza Kącka na jednej z pierwszych stron pisze z wdzięcznością o przejętej od dziadka niechęci „do różu, wąskiego repertuaru ról, braku wyobraźni” – i chociaż ten „dyktat różu” z każdym dniem słabnie, warto przyjąć od niej i tę przestrozę, wiedzę o również tej, niedostrzeganej przez wielu, barierze.



**Eliza Kącka, *Wczoraj byłaś zła na zielono*, Karakter, 2024**

*Wojciech Stanisławski*

\*\*\*

Recenzje Wojciecha Stanisławskiego w ramach cyklu „Czytelnia publiczna” ukazują się co dwa tygodnie.

► **Przeczytaj wcześniejsze**

*Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury*



Ministerstwo Kultury  
i Dziedzictwa Narodowego

---